Nr. 35. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 31 sierpnia 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

JÓZEF NARZYMSKI.

(Wspomnienie pośmiertne.)

W nocy z dnia 4 na 5 lipca b. r. umarł w Jaworzu, miejscu kąpielowém na Szląsku, Józef Narzymski.

Wieść o jego śmierci odbiła się bolesnym echem w sercach nietylko jego osobistych przyjaciół, ale i mieszkańców wszystkich dzielnic Polski. Pierwsi bowiem czcili w nim człowieka niepodległych zasad i nieskazitelnéj prawości charakteru, drudzy podziwiali niepospolity talent dramaturga, który w krótkim przeciągu czasu imieniu jego nadał rozgłos i sławę.

„Czuję, pisał ś. p. Józef na kilka godzin przed zgonem, śmiertelne dreszcze — ostatnia moja godzina niebawem wybije — czemuż nie mogę uścisnąć wszystkich tych, których kocham, czemuż nie umieram w Krakowie?"

Zgasł z całą przytomnością i spokojem, jak lampa z któréj ulotniła się ostatnia kropla oleju — do ostatniéj chwili dawał rozporządzenia, pisał listy — z piórem w ręku zasnął... na zawsze.

Ciało jego przewieziono 7 lipca do Krakowa i złożono w polskiéj ziemi, którą tak kochał — ta ziemia lekką mu będzie.

Nieliczne grono krewnych, paru obecnych w Krakowie przyjaciół i miejscowi literaci stanęli nad wilgotną mogiłą...

„Nichts gesagt und nichts gesungen..."

Urodzony 8go lutego 1839 r. w Radzikach Małych w powiecie Przasnyskim z Jana i Katarzyny z Grąbczewskich, wychowywał się ś. p. Józef w Bogatem, majątku, który od XVI w. zostawał w rękach rodziny jego po ojcu.

Wspaniały pałac zbudowany na początku XVIII w. przez Jakóba Narzymskiego, wojewodę pomorskiego, zamieszkiwany był naówczas przez babkę Józefa, matronę staréj daty, prowadzącą ster rodziny. Patrjarchalne te stosunki, pośród których surowość obyczai, pobożność i wzajemna miłość swobodnie się krzewiły; całe otoczenie, owe obszerne sale starego gmachu pełne wizerunków antenatów — wywierały na wrażliwém z natury dziecku głęboki wpływ i wpłynęły na całą jego przyszłość.

Ktokolwiek z nas miał szczęście być wychowanym przez polską matronę, w domu gdzie żywo tkwi tradycja zacnéj przeszłości rodu, ten pojmie, że ś. p. Józef wyszedł w świat zbrojny takim pancerzem uczciwych zasad, przez który nie przechodzą żadne pociski grasującego coraz potężniéj łotrostwa.

W 13 roku życia oddano go do gimnazjum w Płocku, w którém zostawał pod opieką zacnego prof. Szulca i które ukończył, biorąc corocznie nagrody, w 1857 r. W dwa lata potem zmarł jego ojciec, a ś. p. Józef stawszy się panem znakomitéj fortuny, pragnął wyjechać za granicę dla dalszego kształcenia się. Obowiązki rodzinne zatrzymały go jednak rok jeszcze w domu, podczas którego zapoznał się i zawarł serdeczne stosunki z Włodzimierzem Wolskim, Romanem Zmorskim, Ludwikiem Brzozowskim i całém wesołém gronem warszawskiéj literackiéj młodzi.

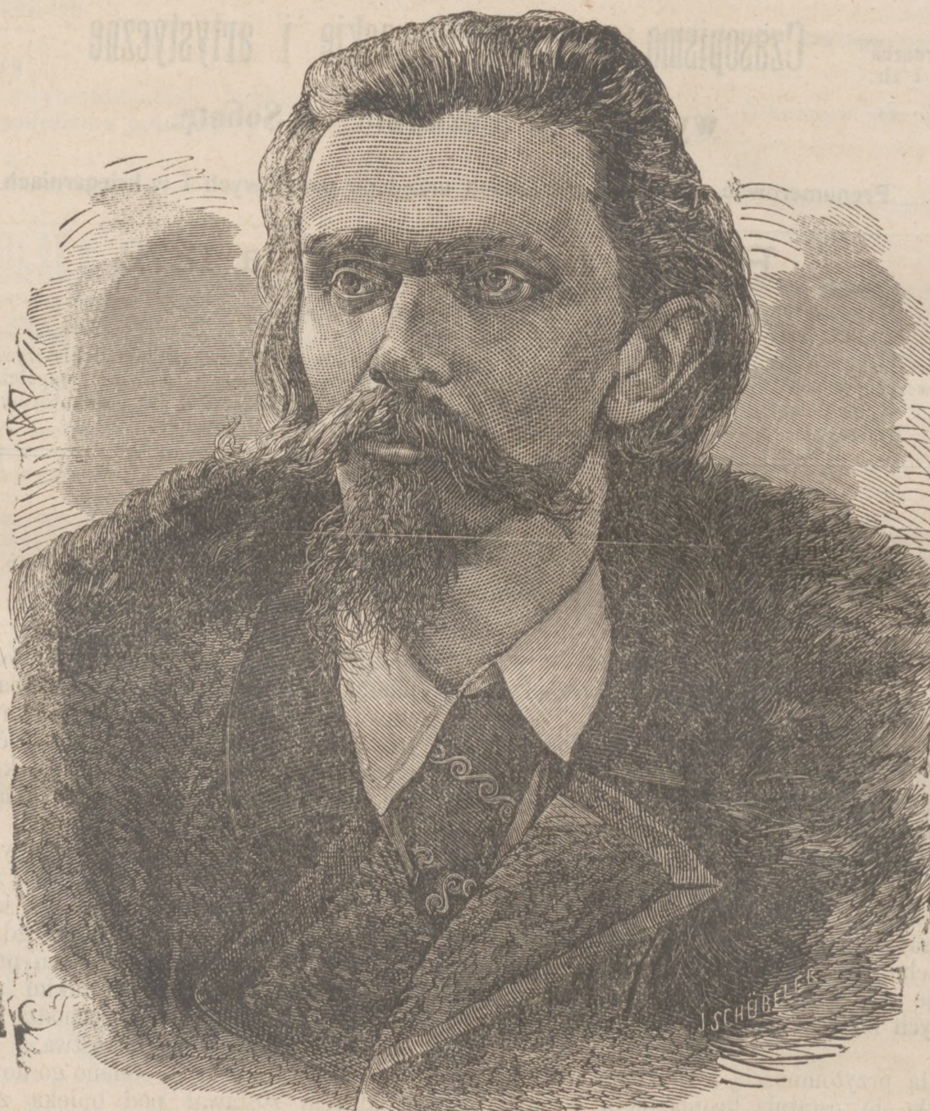
W 1860 r. pojechał do Paryża. Tam uczęszczał na wykłady w Collége de France i zaznajomił się z wielu osobami, które w ostatniém naszém powstaniu ważne odegrały role...

Tymczasem przygotowywały się w kraju krwawe a nieszczęsne wypadki. Narzymski wrócił do Warszawy i w końcu 1862 r. wszedł jako zastępca do komitetu

centralnego, kiedy zaś zadekretowano powstanie, ś. p. Józef będąc przeciwnego zdania, wystąpił z komitetu, wyjechał w Mławskie i tu w styczniu 1863 r. ożenił się z Aleksandrą Krajewską.

Siła faktów spełnionych nie pozwoliła mu zostać w bezczynności. Przyjął stanowisko w organizacji płockiéj a następnie wezwany do Warszawy został referentem dla województwa płockiego w komitecie spraw wewnętrznych. We wrześniu wszedł jako członek do rządu narodowego, lecz zostawał tam tylko dwa dni, a po krótkiéj przerwie objął znowu obowiązki referenta spraw zagranicznych, po aresztowaniu zaś ś. p. Traugutta wyjechał na wygnanie za granicę.

Z początku przemieszkiwał w Dreźnie i w Prusach, zaś od 1868 r. osiadł stale w Krakowie.



Pierwsze literackie próby Narzymskiego drukowane były w Gazecie codziennéj i w Pszczole za czasów redakcji A. Niewiarowskiego. Następnie w 1859 r. napisał komedję „Wielki człowiek powiatowy“, a w 1862 drukował w Poznaniu komedję p. t. „Niekomiczna komedja.“ W tymże roku ogłosił 2 rozprawy: „O stanie stronnictw w kraju“ i „Jak Austrja ocalić się może.“

Od chwili osiedlenia w Krakowie rozwija się jego działalność literacka. Ztąd to pisał on zajmujące swoje feletony do „Dziennika Poznańskiego“ pod ogólnym tytułem „O tém i o owém“ będąc zaś czas jakiś członkiem redakcji Kraju pisywał tam wstępne artykuły, krytyki i humorystyczne obrazki. Następnie był współpracownikiem Kurjera Krakowskiego, a po upadku tegoż oddał się pracy dla teatru. W tymże czasie napisał ś. p. Józef wspólnie z Wołodym Skibą komedje: „Emigrant w Galicji“ i „Poświęcenia“ oraz powiastkę „Dwie pary“ i powieść „Pozory mylą“, obie drukowane w Sobótce, któréj dał również pracę o historji teatrów w Polsce, napisaną podług rękopismu Karola Estreichera.

Jakkolwiek wiele z powyżéj wymienionych prac doznały powodzenia a wszystkie noszą na sobie cechę istotnego talentu, to przecież imię ś. p. Józefa stało się głośném dopiero, gdy zaczął pisać konkursowe sztuki i większych rozmiarów powieści. Do pierwszych należą uwieńczone pierwszą nagrodą komedje „Epidemja“ i „Pozytywni“, do drugich powieść „Ojczym“, którego druk w piśmie naszém niebawem ukończymy.

W ciągu tego świetnego lecz niestety krótkiego perjodu przetłomaczył ś. p. Józef „Skąpca“ Moliera, „Występną matkę“ Beaumarchais'go i kilka innych mniejszych sztuk francuzkich, jak również napisał krotochwilę „Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach“, która wydrukowana zeszłego roku w naszém piśmie i rzucona w handel księgarski w odbitkach, natychmiast się wyczerpała.

Jedyny pośmiertny rękopism, jaki zostawił ś. p. Narzymski, jest własnością wydawcy naszego Tygodnika. Powieść ta niezmiernie pracowicie napisana nosi tytuł „Trzy miesiące“ i drukowaną będzie zaraz po Nowym Roku. Pisma naszego był ś. p. Józef szczerym przyjacielem i współpracownikiem od chwili, kiedy zaczęło wychodzić. Pisywał dla nas prócz znanych prac obszernych drobne artykuły rozmaitéj treści, a ostatniéj wiosny nawet, złożony już ciężką niemocą, przysłał nam z Wenecji obszerną korespondencję, zamieszczoną w 22 numerze Tygodnika.

Wspomnieliśmy powyżéj, że ś. p. Józef odziedziczył po rodzicach znaczną fortunę, majątek ten jednak znacznie uszczuplony rozmaitemi wypadkami w ostatnich latach, małe tylko, a co gorsza, nieregularne dawał dochody. Kłopoty finansowe martwiły Józefa, niepokoiły o los ukochanéj żony i jedynego dziecka, wiedział bowiem od dawna, że długo żyć nie będzie. W jesieni zeszłego roku wyjechał za poradą lekarzy do Meran a ztąd na wiosnę do Wenecji. Dojechawszy tylko do Botzen dostał gwałtownego krwotoku i dwa tygodnie musiał czekać, zanim można było puścić się w dalszą podróż. Z Wenecji opisywał mi to wszystko obszernie a tak żałośnie, że czytając list ten łez powstrzymać nie mogłem...

„Co prawda, pisze, wolałbym, żeby stan ten wolnego konania potrwał jak najkrócéj. Choć bowiem mało cierpię fizycznie, ale to zbliżanie się systematyczne do grobu nic przyjemnego nie ma. Człowiek przedewszystkiém projektami żyje — dla mnie to zamknięte. Gdy się zapomnę i zacznę sobie snuć jaki zamiar, kościste

palce rzeczywistości chwytają mnie niemiłosiernie... taka egzystencja bezsilna, bezpłodna, niemająca żadnego celu, choćby wymarzonego, jest raczéj męczarnią. Co ważniejsza, zabija ona biedną moją kobiecinę. Gdybym raz skończył, rozpaczałaby, płakała — czas jednak złagodziłby ranę i żal. Dziś pół życia spędza we łzach, mizernieje, niknie i najpiękniejsze lata życia marnuje... Ale dość tego. — Mam jeszcze nadzieję, że moich kochanych zobaczę jeszcze, uściskam ich i odżyję w ciepłéj waszéj atmosferze."

Tak kończył obszerny list swój z 21 kwietnia b. r. z Wenecji. Miesiąc późniéj stracił już zupełnie nadzieję utrzymania życia przez kilkanaście miesięcy, jak pierwéj wspominał. Dnia 31 maja bowiem pisze do mnie już z Jaworza: „Jeżeli chcesz, abym poprawił osobiście rękopism „Trzy miesiące", to każ natychmiast przepisać i przysłać, bo autorowi jego trzy miesiące lada chwila się skończą."

Następnie spiera się ze mną o znaczenie pozytywizmu i o recenzję, jaką napisałem z Krakowa o pierwszém przedstawieniu „Pozytywnych" — daléj robi mi zarzut, że artykuły moje są coraz zimniejsze, że tracę widocznie zapał — „wstępujesz, mówi, na drogę lodowatéj rozwagi i pozytywizmu — mnie to szczerze boli, że młody człowiek, którego szanuję a nawet trochę kocham, taki obiera kierunek. — Wierzcie mi. Raczéj rozgrzewać dziś jak oziębiać należy. Trzeba było dawniéj tak gadać, dziś Polsce grozi więcéj konserwatyzm jak skrajne porywy, o których wreszcie nikt nie marzy, szkoda że nie mogę dłużéj pisać — męczy mnie to, a zresztą mam dużo do pisania — przed śmiercią wszystko regulować trzeba."

W miesiąc późniéj przekonaliśmy się, że Narzymski o bliskim końcu swoim dobrze wiedział. Nie mogąc już tworzyć, zachęcał drugich. W każdym liście — a pisał je w różne strony do ostatniéj chwili — gniewał się na opieszałość w pracy narodowéj, zachęcał, zwracał uwagę na błędy, podawał myśli. Zbolałe ciało było do ostatniéj chwili przybytkiem wielkiego ducha, którego wpływ długo jeszcze trwać będzie a pamięć nie zgaśnie we wdzięcznym narodzie.

Dr. W. M. O.

Szkoły i wychowanie w Polsce.

Przegląd historyczny od najdawniejszych do najnowszych czasów

napisał

Alfred Szczepański.

(Ciąg dalszy.)

W roku 1740 ustanowiony regensem założył Konarski pierwszy konwikt szlachecki w Warszawie pod nazwą collegium nobilium. Fundusze miał zrazu swoje i od krewnych, potém August III nadał przywileje, uchwałą senatu wyznaczono ze skarbu czerw. zł. 200 przez lat 6, za wstawieniem królowéj dał zapomogę król francuzki Ludwik XV i zaczęły się mnożyć zapisy rodzin bogatych. W pierwszym roku miał Konarski jednego ucznia, tak się Jezuici pilnowali, w drugim roku miał już 20; zwiększała się liczba stopniowo, aż i osobny gmach dla konwiktu wystawić zdołał. W kolegium było klas 6; stopniowo wykładano przedmioty: religję, język, literaturę i wymowę łacińską — selecta, klasycy, mowy; toż samo wymowę polską, tłomaczono listy Batorego, Mureta, retorykę Konarskiego, mowy: Kromera, Orzechowskiego, Górnickiego, mowy uczniów na temata obywatelskie, w języku ojczystym; język francuzki (Telemaque), niemiecki, włoski, arytmetykę elementarną (Skaradkiewicza P.), algebrę, geometrję, astronomję, fizykę, historję naturalną ze względem na uprawę jarzyn i drzew owocowych, historję polską i powszechną, geografję z e względem na statystykę krajów, filozofję, loikę, etykę, metafizykę, politykę, obznajamianie z dziełami politycznemi (Bernouillego, Lipsjusza); prawo przyrodzone, polityczne, obznajamianie z prawami krajowemi, mianowicie z „Inwentarzem" Żeglickiego i Voluminami legum; rysunki, architektura cywilna i wojskowa. Wyrzucono Alvara; sam Konarski i inni Pijarzy wypracowywali skrzętnie podręczne książki, sprowadzano i tłomaczono najlepsze dzieła zagraniczne, które już w ustawie Konarski wyszczególnił, sprowadzono mapy, globusy, urządzono gabinety. Język wykładowy był tylko polski. Chciały być te konwikta po części i szkołą rycerską; w tym celu na profesorów mieli być oddani oficerowie z wojska saskiego. Tak dla zabawy jak i pożytecznego ćwiczenia urządzono teatra dla młodzieży, dla których nowe sztuki, bez ról kobiécych, Pijarzy pisali. Edukacja miała być „moralną i fizyczną", kształcącą serce, oświecającą rozum, układającą i uzacniającą ciało (§. 2 ustawy). Więc uczono też muzyki, fechtunku, tańca, jazdy. Zaprowadzono egzamina publiczne, a dla pobudzenia ducha koleżeństwa i emulacji — urzęda i sądy poprawcze, wybierane pomiędzy uczniami.

Na ten wzór założyli Pijarzy kolegja we Lwowie i zreformowali potem swoje zwykłe szkoły (o 6 i 3 klasach) w Warszawie, Podolińcu (na Spiżu), Radomiu, Łowiczu, Międzyrzeczu.

Przykład Pijarów pociągnął i inne zgromadzenia, ale tylko pod względem formalnym:

Jezuici, którym jako posiadającym ogromne dochody łatwo to przyszło, zmuszeni emulacją założyli konwikta szlacheckie: w Wilnie, Poznaniu, Warszawie, Ostrogu, Lwowie, Witebsku. Dziwolągów swojego systemu wcale w nich nie usunęli, dodali tylko niektóre nowe rzeczy, poprawili widowiska (teatra Bohomolca).

Teatyni założyli konwikta szlacheckie: we Lwowie, Zamościu, Warszawie. Teatra urządzali i nadal po łacinie. W r. 1783 nie chcąc się poddać wymaganiom komisji edukacyjnéj, wynieśli się z Polski.

Cała reforma Konarskiego nie zmieniła w niczém stanu szkół publicznych, bezpłatnych, przystępnych i dla miejskiéj młodzieży. Nawet akademja krakowska zamiast poprawić własne szkoły, zamyślała zakładać konwikta, a kolonje i kolegja trwały daléj w dewocji i panegiryzowaniu — jedynie iż język francuzki w nich wprowadzono.

Bazyljanie mieli szkoły w Buczaczu, Włodzimierzu, Humaniu, Żyrowicach. Nie płynęło z nich światło na Ruś, bo je urządzali ciągle na kształt jezuickich.

Księża Komuniści szkoły swoje w Kielcach, Wągrowie, urządzali podług kolonji akademickich.

Seminarja powstawały pod zarządem Misjonarzy, Komunistów, Jezuitów. Przybyło w Łucku seminarjum dla Unitów. Kurs trwał rok; łatwy ztąd wniosek o oświacie duchowieństwa unickiego. — Przy seminarjum

Teatynów we Lwowie były fundacje na 10 ruskich i ormiańskich kleryków. Nowicjaty i studja zakonne ograniczały się ciągle na poznanie reguły i śmieszności djalektyczne.

Szkoły specjalne.

W r. 1764 założył Stanisław August w Warszawie od dawna w pactach conventach wymaganą szkołę wojskową, pod nazwą Korpus kadetów. Przeznaczył dla niéj rocznie z prywatnéj swojéj kasy 200,000 złp., a Rzeczpospolita 400,000, ale już w roku 1766 dochód szkoły wynosił tylko 300,000 złp. Uczniów bywało do 80 i to według ustawy, dwie trzecie z Korony, jedna z Litwy. Tylko rodowity szlachcic mógł być uczniem lub profesorem. Uczono łaciny, dla poznania klasyków, języków francuzkiego i niemieckiego, matematyki, fizyki, ekonomji politycznéj, historji i geografji powszechnéj, historji i literatury polskiéj, rysunków, muzyki, jazdy, fechtunku, mustry. Umyślne książki i wielu profesorów sprowadzono. Młodzież podzieloną była na brygady i dekurje; dekurjoni utrzymywali katalogi, podług których rada korpusowa oznaczała cenzury i przedstawienia do nagród. Utrzymywano ducha korporacyjności, a dla wpojenia uczuć honoru i powinności obywatelskich, musiał się każdy uczeń nauczyć na pamięć słynnego katechizmu rycerskiego, zawierającego kodeks zachowania się w szkole i etykę obywatelską na przyszłość. Kary bywały łagodne, honorowe (n. p. odebranie broni — w zwykłych bowiem szkołach „bito dobrze"), niepotrzebnie jednak wymierzanie kar odbywało się z wystawnością i zaprowadzono między młodzieżą brzydkie wzajemne donosicielstwo. Zepsucie rozwiązłego dworu, które zarażało stolicę, psuło i tę szkołę; zanadto grasowały urlopy dla kadetów do odwiedzania zabaw i towarzystw w mieście i na dworze. W szkole téj uczyli się Kościuszko i Niemcewicz. Surowy wyrok o niéj wydał jenerał Paszkowski w dziele p. t. „Dzieje Tadeusza Kościuszki" (Kraków 1872). Pisze tam na str. 7: „Szkoła ta w wewnętrznym swym układzie, w trybie wychowania młodzieńców, w sposobie dawania im nauk i ćwiczeń, w doborze nauczycieli, odgłosem tylko została obcéj nazwy i próżną z niéj chlubą. W niemałéj liczbie uczniów, którzy z niéj wyszli, jeden Kościuszko się szczególniéj odznaczył (ma tu na względzie wojskowość), nie przez to jednak, iżby w niéj znalazł był dostateczne pomoce i wprawę, ale że nie stracił chęci i zdolności do dalszego sposobienia się." Naczelnym dowódzcą szkoły był ks. Adam Czartoryski.

Szkołę artylerji utworzył za tym przykładem ks. Karól Radziwiłł w Nieświeżu. Uczono tam pirotechniki, rysunków, architektury cywilnéj i wojskowéj. I tutaj mogła wstępować tylko szlachta, ukończywszy zwykłe szkoły.

Korpusy kadetów otworzyli: Potocki w Niemirowie, Tyzenhaus w Grodnie. — Te trzy ostatnie nie długo trwały.

W r. 1761 założył Jan Konarski (brat) w Opolu pierwszą w Polsce a dotąd i ostatnią szkołę rzemielśniczą dla 16 uczniów. Praktycznie na warsztatach uczyli osobni majstrowie, a początków nauk dawali XX. Pijarzy.

Szkoły początkowe.

Miasta i miasteczka podniosły się nieco za Sasów w czasach pokoju, a z niemi i upadłe szkoły miejskie, farne, katolickie. W najlepszych bywały klasy 3: początkujący, postępujący i doskonalący się. W Krakowie było ich 10, w ogóle w Małopolsce 50, w Wielkopolsce 70. Na Rusi i Litwie były gdzieniegdzie dla unitów ruskie, zresztą nawet bazyljańskie były polskie lub łacińskie. System naukowy pozostał w nich jednak ten sam co dawniéj. Lepszą była nauka w utrzymujących się jeszcze kilku szkołach protestanckich w Wielkopolsce — lecz te były niemieckie.

Początkowe szkoły wiejskie upadły zupełnie. Przyczyny tego były: zupełna obojętność państwa, stanowczy opór szlachty przeciw oświacie ludu, niedbałość bezprzykładna duchowieństwa, wygaśnięcie protestantyzmu, brak wszelkich stałych dochodów. Duchowieństwo urządzało wędrowne misje dla katechizmu — których jako szkoły wcale uważać nie można. Dopiéro upadek państwa przyniesie ludowi wiejskiemu promyk oświaty i wolności — nic więc dziwnego, że tradycja tego państwa nie cieszy się dotąd jeszcze u ludu sympatją.

W wychowaniu dziewcząt publicznéм nie zaszła żadna zmiana.

Panna Strumbe, Niemka, założyła w r. 1750 pierwszy świecki pensjonat żeński w Warszawie, do którego uczęszczało kilkanaście panienek bogatych rodzin.

Natomiast wychowanie prywatne w szlacheckich domach zupełnie zfrancuziało; rozchodzą się po Polsce ochmistrzynie francuzkie.

W ogóle prywatne wychowanie nabrało większego znaczenia. Po otwarciu konwiktów nie chciano już posełać dzieci do lichych szkół publicznych zwyczajnych, a gdy nauka w konwiktach była zanadto kosztowną, więc taniéj przychodziło uboższéj szlachcie, która zwykle liczne miewała potomstwo, trzymać domowych guwernerów. Rozłażą się po Polsce Francuzi włóczęgi i oszuści, szerząc libertyństwo cyniczne i małpowanie mody — co umysły dla interesów i klęsk ojczyzny zobojętniało, a pchało je na ościenne dwory po karjerę.

Panuje też zwyczaj jeżdżenia za granicę. Ale bogaci panicze jeżdżą bez instrukcji ojcowskich, bez nadzoru, i nie dla nauki, ale nabrania manier, narowów, dąsów, cudzoziemskiéj mody, blagierji i biegłości w parlowaniu. Dla nauki jeżdżą tylko wysyłani Pijarzy i lekarze.

Wspomnieć tu wreszcie należy, że uboższa szlachta odbywała po ukończeniu szkół praktykę jakoby przysposabiającą do urzędów w tak zwanych palestrach przy szkołach i trybunałach.

Prywatne fundacje na rzecz wychowania przybywały ciągle Jezuitom i Pijarom.

Statystyka.

Pewnéj statystyki szkół w dawnéj Polsce ułożyć niepodobna z braku potrzebnych wykazów, da się jednak rzecz w przybliżeniu przedstawić.

Łukaszewicz podaje przybliżone liczby z dwóch epok, a mianowicie:

Za panowania Zygmunta III i Władysława IV było szkół wyższych i średnich:

	szkół:		uczniów:
Akademji katolickich	3		8,000
Szkół akademickich	17		
Szkół jezuickich	36		10,000
Razem	56		18,000
Szkół wyznania wschodniego	3	po 200 uczni	600
„ „ protestanckiego	10		2,000
Razem	69		20,600
Szkół elementarnych miejskich	900	po 20 uczni.	
„ „ wiejskich	600		
Razem	1500		30,000

Wszystkich szkół około 1569, uczniów 60,000. Dodając, że prywatnie, po klasztorach męzkich i żeńskich u starców na dewocji osiadłych uczyło się kilka tysięcy, można liczbę uczących się przyjąć 60—80,000 obojéj płci.

Licząc ludność 15,000.000 wypada, że uczył się jeden na 187.

Około roku 1740 liczba szkół wyższych i średnich była:

Akademji katolickich............	3	po 200 uczni.
Szkół akademickich	10	
„ jezuickich.....................	67	
„ pijarskich....................	27	
„ protestanckich...............	5	
Razem	112	22,400

Szkół początkowych......... 1115 po 30 ucz. 30,000

Razem uczących się 50—60,000.

Obliczenie z tych dwóch chwil nie doprowadza jeszcze do żadnego ogólnego wyniku. Szkół protestanckich bywało daleko więcéj, lubo nie długo trwały. W obliczeniu tych dwóch chwil wypadają zupełnie z rachuby szkoły, które w innych czasach istniały, wypadają téż szkoły żydowskie, które Łukaszewicz jeszcze całkiém pomija, gdyż dopiéro późniéj wydobyte zostały dane w téj mierze. W celu otrzymania więc przybliżonéj statystyki szkół w dawnéj Polsce przedstawia się jako jedyny następny sposób: obliczyć najwyższą jaka kiedy była ilość szkół, zestawić ją z powyższemi dwoma liczbami, a średnia dopiéro z tych trzech da nam naszą przybliżoną.

Tak więc było szkół wyższych i średnich:

Akademji katolickich.............	3	po 200 uczniów w przecięciu.
„ dysunicka..................	1	
„ żydowskich................	4	
Kolonji akad. krak. i zamojskiéj	45	
Kolegji i rezydencji jezuickich...	59	
„ pijarskich.......................	36	
„ bazyljańskich...................	14	
„ zakonników innych reguł	6	
Szkół dysunickich.....................	6	
„ protestanckich..................	54	
Seminarjów duchownych...........	33	
Razem	261	52,200

Liczbę szkół początkowych trzeba przyjąć tę samą co wyżéj, ubytek wiejskich równoważy się niejako przybytkiem miejskich i żeńskich. Będzie zatém razem szkół 1761 — uczniów 82,200. W rachunek ten nie wchodzą jeszcze szkoły prywatne, niższe szkółki żydowskie, nie są téż osobno od kolegjów liczone konwikta, gdyż w miarę przybywania konwiktów upadały kolegja, a innym ubywało uczniów.

Dodać należy wreszcie szkoły specjalne:

Szkoła rycerska w Warszawie...	1		uczniów...	80
Szkoły wojskowe..................	3	po 40	„	120
Szkoła rzemieślnicza..............	1		„	16

Można zatém przyjąć jako najwyższą liczbę szkół 1,770, a liczbę uczniów 83,000.

Zestawiając te liczby z dwoma powyższemi przez Łukaszewicza przytoczonemi, i biorąc 15,000,000 ludności otrzymamy, jako przybliżone średnie dla czasu od Zygmunta Augusta do r. 1773:

Szkół wyższych......	147	uczniów......	32,000
„ wszystkich....	650	„	64,000
1 szkoła wyższa na..........................		102,000	ludności
1 „ w ogóle na..........................		9,100	„
1 uczeń szkół wyższych na..........		470	„
1 „ w ogóle na.........................		235	„

Uderza tu, że liczba uczniów szkół (wyższych) średnich wynosi połowę sumy wszystkich uczniów — pochodzi to ztąd, że się bierze tam 200, zaś w szkołach początkowych 20 uczniów na 1 szkołę. Jeżeli 1 uczeń wypada w ogóle na 235 ludności, to należałoby dopiéro wynaleść stosunek frekwencji młodzieży szlacheckiéj, a nieszlacheckiéj. Stosunek liczbowy musiałby wtedy wypaść dla szlachty lepszy, dla państwa w ogóle gorszy — gdy zważymy jak mało młodzieży miejskiéj się uczyło — a włościańska prawie zupełnie nic.

Kończy Rzeczpospolita żywot swój po reformie Konarskiego, ostatnim politycznym wysiłkiem: konfederacją barską. W obu tych dziełach ostatnich dawnéj Polski zestrzeliło się, obok przedawnionych jéj właściwości, zarazem wszystko to, co ona miała najlepszego. Chciała ona się ratować taką, jaką się przez wieki wyrobiła — naprawą oświaty i charakteru szlachty i ruchem religijno-politycznym téjże szlachty w imie wiary i ojczyzny. Lecz wśród nowego świata, w obec nowéj doby rozwoju społeczeństw europejskich, już takie usiłowania wystarczyć nie mogły. Upadła Rzeczpospolita — a naród innych dróg zbawienia począł szukać. Zwrot ten równoczesny z upadkiem politycznym — rozpoczyna okres drugi. —

(Ciąg dalszy nastąpi).

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

XVI.

W dziewiczym pokoiku Poli leżał nasz ranny bohater. Pola wkrótce odzyskała tę przebiegłość kobiécą, tę zimną krew rozpaczy, jaką ma matka, gdy o uratowanie jéj dziecka idzie, kochanka, gdy potrzebuje ocalić ukochanego. Dwór w Staréj wsi nie posiadał żadnych skrytek, ale pokój Poli był ostatnim w tym budynku. Mały, miał tylko drzwi jedne od pokoju majorowéj. W tém miejscu postawiono wielką szafę, która mogła łatwo owe drzwi zasłonić. Przy wielkiéj uwadze można było domyśleć się tego pokoiku, ale nic lepszego wyszukać nie było podobna. Polcia sądziła z początku, że da się rannego téj jeszcze nocy wywieść za granicę, ale przybyły pod wieczór doktór oświadczył, że ani pół mili drogi nie wytrzyma, że ledwie za parę tygodni poruszyć go będzie można.

— Więc pan go wyleczysz?... pytała gorączkowo kobiéta.

— Ręczyć nie mogę, kula przeszła przez płuca, ale sobie poszła — z takich ran ludzie wychodzą czasem...

Poli zimno się zrobiło, usłyszawszy to okropne „czasem“, ale jednak świecił jéj nadziei promyk.

— Spokój, kompresy, zimna woda do picia, i wszystko co pani radziłem... młody człowiek... może się uda... a teraz żegnam panią... pójdę do jéj ojca...

— Jakżeż się ma pan Piotrowicz?

— A chory jest... chory... to człowiek strasznie

nerwowy — uśmiechnął się doktór — dzisiejsza bitwa pogorszyła stan jego.

Doktór poszedł na drugą stronę. Tam przykryty kołdrami, obstawiony flaszkami leżał Piotrowicz. Wyrwawszy się z obozu chciał on lecieć do Warszawy natychmiast. Ale już w drodze uczuł jakieś uderzenie do głowy, jakiś zawrót. W oczach mu się ciemno robiło. Wiedział, że to symptomata apopleksji i kazał się wieść do zięcia co prędzéj. Wprawdzie ataku nie było, ale o podróży ani myśleć nie mógł — i musiał się w łóżko położyć.

Okropny przestrach, jakiego doświadczył podczas bitwy, powiększył gorączkę — jednakże doktór zapowiedział, że nazajutrz może już wstać, a za parę dni wyjechać.

— Ale — odezwał się drżącym głosem chory — tu podobno rannego przynieśli... jak przyjdą Moskale, to pozabijają wszystkich i dwór spalą...

— Bądź pan spokojny — rzekł doktor — rannego umieściliśmy w sypialni pani... Trzebaby strasznie mądrego Moskala, żeby go znalazł.

— Co to się dzieje... konsyljarzu... co się dzieje!... A czy to potrzebne?...

— To zależy od przekonania — mruknął niechętnie doktór.

Tymczasem Pola wróciła do chorego. W dziwném ona była usposobieniu. Zapomniała o całéj przeszłości, o mężu, o matce... widziała tylko Artura chorego, zagrożonego i raną i napadem Moskali... zostającego na jéj opiece... Miłość jéj dla niego rozegzaltowana bohaterstwem młodzieńca, wyrosła do szału prawie. Kochała go w téj chwili jak matka swe dziecię umierające kocha, a zarazem czuła się maleńką, czuła się niższą w obec tego człowieka, który tak spokojnie piersi nadstawiał, którego krew lała się dla świętéj sprawy.

Artur odpocząwszy po badaniach doktora i obandażowaniu, był spokojny. Pokoik ten biały, czyściuchny, pachnący, w którym był dwa razy w życiu w usposobieniach tak odmiennych, dobrze wpływał na niego. Czuł się prawie szczęśliwym, i patrzał we drzwi czekając przybycia Poli...

Weszła udając uśmiech.

— Doktór ręczy, że nic się panu złego nie stanie... jednakże wyjechać jeszcze nie możesz.

— A pani mnie chciała już wyprawić?...

— Mój Boże!... przecież dla bezpieczeństwa pana...

— Oh! to prawda! ja i na państwa ściągnę nieszczęście...

— Ja tylko tu jestem — rzekła Pola — a dla mnie nieszczęście... Ale na Boga błagam pana... nie mów... nie męcz się...

— Dla czego?...

— Żeby wyzdrowieć...

— I pójść ztąd?... czy pani sądzi, że ja tak bardzo żyć pragnę .. Wiesz pani, że nie mam po co...

— Panie Arturze!... błagam!...

— Panie Arturze!... powtórzył z goryczą chory, którego zwolna gorączka obejmowała — ah! tak... to prawda... pani Adamska inaczéj mówić... nie może.

Pola podniosła oczy na niego, łagodne, spokojne, jakby o przebaczenie błagając, a z tych oczu popłynęły dwa strumienie łez cichych i czystych jak kryształ.

— Artur prawą rękę wsunął we włosy i z rozpaczą zawołał:

— Przeklęty jestem!... Daruj! — dodał wyciągając rękę — daruj umierającemu i nieszczęśliwemu...

— Ależ Arturze... mój Arturze! — zawołała pamięć tracąca Pola — i z fotelu usunęła się na ziemię i klęcząc całowała jego rękę, a łzy gorące spływały na nią... — jam cię kochała zawsze... ja kocham cię... ja zawsze kochać cię będę...

— Tak!... — dodała wstając, wyprostowana, dumna, pijana wzruszeniem i szalona prawie — tak!... jam była, jestem, będę twoją... niech tu przyjdą wszyscy! i ci co mnie sprzedali i ci co kupili... jam twoja... z tobą żyć będę... z tobą umrę... ale tylko z tobą...

Artur oparty na łokciu, wpatrzony w kochankę, nie wiedział sam, co się z nim dzieje... Czuł tylko, że jest dziwnie szczęśliwy, że jakaś cicha opanowała go błogość, że serce mu bije gwałtownie... że słabnie... że umiera... Ścisnął więc dłoń drżącą Polci, przymknął oczy i z uśmiechniętych ust jego wybiegł szept cichy:

— O moja najdroższa, jakżem ja szczęśliwy!

Pola się przelękła, ale przelęknienie trwało krótko. Artur wkrótce przyszedł do siebie.

— Jeżeli masz litość nademną, nie mów... i nie poddawaj się wzruszeniu... prosiła Pola.

— Mylisz się mój aniele — odpowiedział Artur — jeżeli żyć mogę, takie wzruszenia, rozmowa z tobą, uleczy mnie prędzéj, jak wszystko... jeżeli mam umrzeć... ale to słowo cię martwi?...

— Nie... słucham go owszém spokojnie... czuję, żebym cię nie przeżyła...

— Najdroższa!... więc jeżeli umrzeć mam... toż niech użyje téj niebiańskiéj rozkoszy...

— Oh!... będziemy jéj używać wieki całe...

— Któż to wié? — szepnął Artur — ale słuchaj, jedyna... jeżeli chcesz, żebym milczał, to mi mów... mów ciągle... o sobie... tylko o sobie i twéj miłości... niech twój głos harmonijny słyszę... niech w oczy twe patrzę... niech twą rękę w méj ręce czuję... a rana moja goić się będzie... gorączka się zmieni w marzenia cudne i spokojne!... Oh! jak ja cię kocham Polu!...

I siadła przy łóżku Pola i dłoń jego w białe swe wzięła rączki, i patrząc mu w twarz, rumieniąc się czasem, jąkając, spuszczając oczęta, spowiadała mu się ze swoich uczuć, marzeń i boleści swoich, opowiadała dzieje swéj miłości... rozpacze, których on był przyczyną, potem tęsknotę... ból... podszepty dumy i zwątpienia...

Artur się pytał, uśmiechał, ściskał drobne dłonie... czasem je do ust podnosił... czasem łzy miał w oczach.

I rozmowa ta... tak niby grzeszna wedle praw ludzkich, tak dziwna w tém ich wzajemném położeniu, była jednak cudowną... uroczą... i z przeproszeniem purystek... nieskalaną... Gdy opowiadanie Poli doszło do chwili ślubu, do jéj choroby, do stosunków jéj z mężem, czoło Artura zmarszczyło się i usta zacisnęły... Polcia zaczęła się jąkać...

— Pani majorowa — odezwał się Artur — mówiła mi, że jesteś tak samo żoną Adamskiego, jak ona; słowa te w szał mnie wprowadziły... myślałem, że ślub nie ważny... że nie żyjecie z sobą, tymczasem widzę...

— Babcia miała słuszność — rzekła rumieniąc się Pola.

– Jakto?... Nie rozumiem.... wszak mieszkacie razem...

— Niezupełnie... on mieszka tam, a ja tu... widujemy się tylko przy obiedzie i herbacie...

— Prawdaż to Polo — rzekł podnosząc się Artur.

— Czy już mi nie wierzysz?...

— Oh! święta moja...

I znów przeproszenie, i znów gawędka cicha, miłosna... owa gawędka, która jedna na ziemi daje miarę nieziemskich uniesień, która jest niby niczém... a przecież jest wszystkiém...

Artur miał się doskonale... zwłaszcza gdy zazdrość jego uspokoiła się zupełnie. Pod wpływem nieopisanego szczęścia natura tém dzielniéj walczyła z chorobą. Zresztą, pierwszy dzień zwykle nie jest nadzwyczaj bolesny, przy ranach, które kości nie strzaskały.

I byłaby ta gawędka trwała bez końca, gdyby Polcia nie uprosiła Artura, by zasnął trochę. Spoczynek rzeczywiście był dla chorego potrzebny bardzo. Zresztą,

szczęśliwy jest zawsze uległy jak dziecko, a Artur na żądanie kochanki byłby teraz zrobił wszystko, do czego był zdolnym i niezdolnym...

Zasnął więc uśmiechnięty, rozpromieniony, owym snem cichym i równym, który podwaja siły i duszę uspokaja.

Pola długo siedziała patrząc w twarz ukochaną z tym wyrazem zachwytu, uwielbienia i miłości, których ani pióro skreślić, ani pędzel odmalować nie są zdolne.

Potem uklękła i zawsze wpatrzona w twarz drogą, modliła się czas jakiś. Czy z ust jéj wychodziły słowa? Wątpię... Niemniéj przecież modliła się gorąco, a modliła o dwie rzeczy: żyć przy nim nieodstępnie, jeżeli żyć będzie... umrzeć z nim razem, jeżeli taka wola Boga... Nie wiedziała pewno sama, czy goręcéj prosić o jedno, lub drugie... to jedno ją tylko przerażało: żyć bez niego...

Po modlitwie Pola wysunęła się cichutko z pokoju. Miała ona dawno już z majorową ułożony projekt, który teraz wykonać wypadało. Jeszcze w ciągu dnia rozpuściła ona pogłoskę, że nocą Artur wywieziony zostanie za granicę. Kazała więc przygotować karetę i konie. Wszystko to zaś działo się niby w tajemnicy, ale umyślnie tak, żeby służba o tém wiedziała.

Dla tém większego złudzenia, czekał zamknięty w innym pokoju lekko ranny żołnierz, z Prus rodem, przebrany w suknie Artura.

Jakoż stało się wszystko wedle planu. O północy kareta zaszła, wniesiono doń opakowanego w białéj rogatywce człowieka; przewodnik wsiadł na konia, panie chorego żegnały jeszcze w karecie, i pojazd ruszył.

Wszyscy dworscy ludzie, z wyjątkiem wiernego bardzo lokaja, i kochającéj panią całą duszą Józi, byli przekonani, że to pan Karliński został wywieziony.

Ranek dnia następnego był pochmurny nieco. Rzadko tylko słońce z po za chmur wychodziło i złociło świat boży smętném, nie wesołem światłem. Artur po spokojnym i pełnym uroczych widzeń śnie, obudził się rano i zobaczył twarz Poli wpatrzoną w niego...

— Gdzie ja jestem? — zawołał przerażony prawie — to przecież sen był tylko!..

Pola wzięła jego rękę i rzekła:

— Najrzeczywistsza rzeczywistość...

I znów się zaczęła nowa edycja dnia wczorajszego, nie tak może gorąca, nie tak pełna uniesień i ekstazy, bo dzień był jasny... mówili, patrzyli na siebie z uniesieniem w milczeniu, ściskali się za ręce, uśmiechali się... mieli łzy w oczach... Godziny im biegły szybko, a jednak każda mieściła miljony rozkoszy...

Artur miał się bardzo dobrze. Maleńka go zaledwie trawiła gorączka, taka tylko, by był pozór do częstego żądania wody, za którą miał pretekst ucałowania rączki. Rana, przewinięta ukochaną dłonią, prawie nie bolała, krew ustami w coraz mniejszych pokazywała się ilościach. Oboje nie myśleli o niczém, tylko o sobie i miłości swojéj... Mój Boże! żebyż człowiek choć rok w życiu mógł w takim stanie przeżyć!... Koło południa jednak ktoś zapukał. Pola wybiegła i zobaczyła bladą i wylękłą babcię...

— Idą — rzekła drżąc staruszka.

Pola jak trup pobladła.

— Daleko są?

— Pod lasem.

— Babciu pobłogosław mnie — rzekła młoda kobiéta chyląc się w objęcia majorowéj.

— Co to znaczy? zawołała staruszka.

— Jeżeli on zginie i ja umrę...

— Ależ dziecko moje!... buchnęła płaczem babcia — ja nie pozwolę!...

— Tak będzie, najdroższa moja!... I ty przyjdziesz za nami niedługo,..

— A mamę pożegnaj... i nie mów jéj nigdy, że jéj słabość mnie zgubiła... No, babciu, błogosławieństwa twego proszę.

I Pola klękła.

— Ależ droga moja! — wołała łkając staruszka — ja cię błogosławię zawsze i ciągle... każdym krokiem i westchnieniem każdém... ale zlituj się!...

— Dziękuję ci najdroższa!... a módl się za mnie... i objąwszy kolana staruszki ucałowała je serdecznie. Jednakże oczy jéj były suche.

— A teraz — rzekła wstając — robić co można by się ocalić... i wróciła do Artura.

Twarz jéj była blada, poważna, zdeterminowana.

— Czy idą? zapytał chory, który się domyślił czegoś.

— Tak, za kwadrans tu będą...

— Oh! pocóż nie zginąłem wczoraj!...

— Nie bluźnij, Arturze — rzekła poważnie — a nasze chwile szczęścia?...

— Ależ ty się lękasz?...

— O ciebie...

— O mnie? O! najdroższa!... jam mój kielich szczęścia wypił dziś i wczoraj... niczego w życiu lepszego spodziewać się nie mogę... tylko...

Pola przystąpiła do łóżka i wyciągając twarz rzekła:

— Pocałuj mnie...

Uścisk trwał długo... któż wié?... może to ostatni... Pola zapuściła storę i wyszła krokiem wolnym. Zaraz potem Artur usłyszał szmer posuwanéj szafy, wyjął z pod poduszki rewolwery, obejrzał, czy nabite, schował je napowrót, położył się spokojnie i zaczął marzyć o Poli...

Pola w drugim pokoju klęczała na klęczniku babki i odmawiała modlitwy za konających.

W kilka minut tentent rozległ się na podwórzu, krzyki się odezwały. Pola wstała i zbliżyła się do okna. Kilkunastu kozaków goniło chłopów po podwórzu i spędzało ich do gromady. Po za płotami, w ogrodzie, widać było rozbiegających się żołnierzy, dom był obstawiony, a przed domem stało kilku oficerów na koniach. Polę dreszcz przeszedł. Słabość kobiéca odezwała się o swe prawa. Czuła, że drżeć zaczyna. Ale spojrzała na szafę i rzekła:

— Proszę babci, wyjść trzeba do nich.

Staruszka się podniosła. Przeszły pokoje, sień i wyszły na ganek. Zobaczywszy piękną kobiétę paru oficerów uchyliło czapek.

— Wy barynia? — rzekł jeden z nich dosyć otyły, o twarzy opasłéj, grubych wargach i zwierzęcym wyrazie twarzy.

— Ja — odpowiedziała Pola — co panowie rozkażecie.

— Gdzie jest buntowszczyk Karliński?...

— Niema go tutaj.

— Aha!... niema... niema... Ja wiem, że on tu jest — mówił ostro oficer zbliżając się i wcale nie źle wymawiając polskie wyrazy — ranny i tu złożony... proszę mówić prawdę... bo ja tu w imieniu carja — tu uchylił czapki. — Jak go pani odda, to nic... rannego musiałaś przyjąć... ale jak nie... no to Sybir... katorżnia... a wieś spalę do płota... Słyszysz barynia!...

— Słyszę... Przyniesiono tu wczoraj rannego człowieka, ale kazano go w nocy odesłać...

— Kuda?... krzyknął wściekle oficer...

— Nad pruską granicę...

— Ah!... suki syny... sobaki... miateżniki!... wot...

I major (bo to był major) krzycząc, prawie aż na ganek koniem najeżdżał. Polcia jednak, któréj o to tylko chodziło, żeby jéj uwierzono, dziękowała Bogu. Ale inny oficer mały i rudy zbliżył się do majora, szepnął mu coś do ucha, pogadali, i major się uspokoił.

— Pani wrosz — rzekł znów do Polci.

— Nie rozumiem, proszę pana...

— Pani łżesz — przetłomaczył na polski język rycerz cesarski.

— Oficerowie powinni być grzeczni dla kobiét — odpaliła natychmiast kobiéta, chcąc śmiałością nadrobić.

Jakoż młodzi oficerowie wzruszyli ramionami, a sam major, zbity z tropu, zaczął się tłomaczyć.

— Nu, tak i my grzeczni... ale cztoż... ja nie znał czto to obraźliwe... Czort z waszym jazykom. Ale ja wam mówię, że on tu jest...

— Mówię, że niema, wolno panom szukać...

— Nu, a jak niema, tak jeszcze gorzéj.. każę spalić... i pani pójdziesz w Sybir...

— To trudno!... cóż na to poradzić... rzekła Pola, a serce jéj biło z radości...

W téj chwili kozacy spędzili chłopów, parobków, stajennych. Zaczęła się indagacja. Nie wielu z nich na własne oczy widziało wyjazd Artura, ale prawie wszyscy o nim słyszeli. Zresztą karety i koni nie było, nie było i stangreta. Major się rzucał i klął, oficerowie milczeli, Polcia i majorowa modliły się w duszy.

— A wot obmańszczyki... wory... złodzieje! wrzeszczał major. — Uszał suki syn i wot kakim obrazom... i w karetie... Nu a my odnakoż zrewidujem...

Pola zbladła, ale rady nie było. Oficerowie zsiedli z koni, wystąpił patrol z dziesięciu żołnierzy, i weszli do domu. Rewizja trwała długo, pokój za pokojem, szafę za szafą, łóżko za łóżkiem oglądano, przetrząsano. Nawet ryży oficer po ścianach pukał i w piece zaglądał. Kiedy tak rewidowano, major ciągle szedł koło Poli i oblizywał się. Z początku jéj groził, krzyczał, rzucał się, ale już w trzecim pokoju zaczął łagodniéj mówić, a w czwartym silił się na komplementa. Jeden z młodych oficerów uśmiechnął się i oczami pokazał majora drugiemu. Ten ruszył ramionami i przez zęby szepnął:

— Swołocz.

Pola jednak nie widziała tego... ją dreszcze i gorączka przejmowała na myśl o rewizji w babci pokoju. Nareszcie przyszła koléj i na ten. Ale czy to że rewizja tych panów znużyła, czy dla tego że byli przekonani z góry o bezskuteczności poszukiwań, dość, że obejrzawszy się po pokoiku małym, zaglądnąwszy w szafę, cały tłum wyszedł napowrót. (Dokończenie nastąpi.)

Korespondencja z Florencji.

Florencja w sierpniu 1872.

(A. W.) W ostatnim liście wspominałem wam o polemice Mamianiego Terencjusza, wice-prezesa senatu, profesora i redaktora czasopisma „Filozofja szkoły italskiéj“, z p. Józefem Descours'em, naszym rodakiem, jaka przed kilkoma miesiącami z powodu artykułu tegoż ostatniego „Wpływ filozofji na wykształcenie narodowe Niemiec“ między nimi się wywiązała i na niczém skończyła, bo pismo p. Mamianiego, z powodu przeniesienia się do stolicy, przez kilka miesięcy nie wychodziło, a po upływie tego czasu, strony — a zwłaszcza strona wyzwana — straciła energję w podtrzymywaniu sporu i w bronieniu swego systemu, i tym sposobem zostaliśmy bez repliki. Co gorsza, nietylko p. Descours nie ogłasza dalszego ciągu swéj pracy „O wpływie filozofji w Niemczech“, ale wystąpieniem na całkiém innéj arenie piśmiennictwa i wytrwałém na téjże szukaniu wawrzynów, dowiódł wyraźnie, że kapitulował zaraz we wstępnym boju i że Sofji wypowiedział posłuszeństwo, aby swój talent ponieść w ofierze innéj muzie.

Aby dać wam pojęcie, w jakim kierunku i pod wpływem jakich zasad była napisaną rozprawa pana Descours'a, a także na czém się zasadzała polemika, przytoczę tutaj dwa ustępy z listu, jaki pan Mamiani ogłosił w swym przeglądzie (tom 4, zeszyt 3) do autora wzmiankowanéj rozprawy, któréj właśnie część III była wtedy ogłoszoną.

Na wstępie listu p. Mamianiego czytamy kilka ustępów z rozprawy p. Descours'a, które go spowodowały do publicznego wystąpienia, a które powtórzyć i my także uważamy za stosowne: „Idea Platona jest pojęciem estetyczném, któréj wartości ludy barbarzyńskie pojąć nie mogły i dla tego wzięły ją za pojęcie logiczne... Tak pojęte idee jako odwieczne prototypy, jako zasada metafizyczna stanowią jednę z największych utopji filozoficznych, jakie kiedykolwiek wylęgły się w umyśle ludzkim — a pomimo to są one nie do wyrugowania ztamtąd. Coby powiedzieli naturaliści, którzy przyjmują zmianę gatunków, słysząc o jakichś odwiecznych prototypach?“

„Lecz jeżeli metafizyka Platona jest pięknym paradoxem, to ma przynajmniéj tę zasługę, że objaśnia fenomena piękna, czego nie można powiedzieć o metafizyce realistow scholastycznych i o Heglu.“

Po przytoczeniu powyższych ustępów w te słowa odzywa się p. Mamiani do p. Descours'a: „Chociaż Pan jesteś bardzo młody, jesteś jednak uczonym i zdolnym wychowańcem uniwersytetów niemieckich i dla tego z przykrością przychodzi mi czytać twe słowa, że metafizyka boskiego filozofa jest pięknym paradoxem, i to tém bardziéj, że my Włosi podzielamy go z wielką miłością i z prawdziwym szacunkiem...“

„Nie zgodzę się nigdy na to, aby teorja odwiecznych prototypów miała być nazwaną piękną utopją i nic więcéj; mało albo całkiém nic nie obchodzą mnie cytowani przez pana naturaliści, którzy przyjmując zmienność gatunków, muszą być zdziwieni, gdy słyszą o odwiecznych prototypach. Ja jeszcze bardziéj się dziwię, widząc ich w téj widocznéj i ciągłéj sprzeczności z sobą, bo gdy z jednéj strony utrzymują uniwersalność i niezmienność praw natury i dla tego tylko dochodzą do ich odgadnięcia i przeczucia, z drugiéj zaś strony przypuszczają ciągłą przemianę i nieustanny rozwój (sviluppo) a zawsze od organizmu różny; jakim zaś sposobem przychodzą potem do uogólnienia ich zasady i do wierzenia w ten paradox, że universum nie jest ale się staje, i że skutki są zawsze większe i lepsze od własnych działających (efficienti) przyczyn — tego ja pojąć nie mogę“*).

„My przeciwnie wierzymy, że natura fizyczna tyle się rozkłada, ile jéj nieustannie przybywa i że jedno po drugiém aż do nieskończoności po sobie następuje. Wierzymy, że w naturze organicznéj przemiana i rozwój (trasmutazione e sviluppo) są współczesne zawsze i znikome, że hierarchja gatunków od pierwszego zarodka wznosi się aż do człowieka, a może jeszcze i do stworzeń doskonalszych, wznosi się, powtarzam, na mocy przygotowań odpowiednich i dla obecności i sku-

*) Nic dziwnego — filozofja bowiem zarówno włoska jak hiszpańska zacofane są o lat prawie sto. Pierwsza z nich stoi częścią na stanowisku Hegla, częścią Kanta, druga zaś hołduje zasadom Christiana Krause i jego uczni Ahrensa i Rödera. O filozofji naturalistycznéj opierającéj się już nie na abstrakcyjnéj spekulacji, lecz na pozytywnych rezultatach, wynikających z badania przyrody, włoscy uczeni nic jeszcze wiedzieć nie chcą. Pan Descours, jeżeli jest pozytywistą, źle zrobił, że nie korzystając z przewagi swéj szkoły, ustąpił z pola polemiki.
Przyp. Red.

teczności nowych zasad; dla tego próżną jest rzeczą szukać tak w świecie mechanicznym i chemicznym, jak w całym organizmie skutkowości doskonałéj, ciągłéj i nieskończonéj (nna efficienza perfettiva, perenne e infinita). Zasada doskonałości i nieustannego postępu okazuje się w całéj naturze stworzonéj z umysłem jednakże ludzkim, dla téj zasady, że tylko sam umysł człowieka posiada pojęcie bezwarunkowości (dell' Assoluto) i że bujając w nieskończonéj idealności, powoli, powoli dosięga zawsze płodnéj i niewyczerpującéj się nigdy zasady zmiany i postępu."

„Narody Indostanu czcili wyższe bóstwo zwane Maja, które podobnie jak fata morgana miało moc tworzenia wewnątrz i zewnątrz nas światy fantastyczne, złożone z wszelkiego rodzaju próżnych złudzeń. Jeżeli się nie mylę, w Niemczech taż sama bogini Maja esencjonalnie przelaną została w umysły ludzkie i wywiera tam nieskończoną swą władzę tworzenia złudzeń (di rappresentazione), pozostaje zawsze jednak do dowiedzenia się, jakim sposobem za pomocą niéj poznać można podmiot przedstawiony (il rappresentato), który jest zupełnie nieznany i nigdy poznać się nie da. W każdym razie od czasu jak Leibnitz i Kant myśl człowieka zamknęli w własnym subjekcie, było ciekawą rzeczą przyglądać się, jak tameczni psychologowie i metafizycy zagłębiali się w najgłębsze i niedoścignione tajniki myśli i sumienia, o wiele więcéj, aniżeli zamierzyli, prześcigli szkoły greckie, całe wieki średnie i odrodzenie. Lecz tu rodzi się pytanie, które może jest zuchwałe z méj strony, czy owa zmiana wszelkiéj rzeczy w myśl nie prowadzi metafizyki do nieszczęsnéj nędzy króla Mida i czy pokarm i chleb rzeczywistości nie zmieni się także w myśl. Dla tego przed poddaniem się owemu fatum powszechnego idealizmu, my Włosi chcielibyśmy pierwéj zbadać ponownie utopję Platona i tak wypadło, żeśmy ją znaleźli nie bez małego zdziwienia najprawdopodobniejszą i najzasadniejszą z nauk. Jeżeli myśl wszędzie ma dostęp, tośmy ostatecznie odkryli, że wszelka myśl ma swój termin w rzeczywistości. Dla tego umysł czy go weźmiesz jako pojmowanie (intellezione), czy téż jako otrzymanie wrażeń (percezione), poznaje w tych bez żadnego pośrednika substancje skończone, w tamtych obecność istoty nieskończonéj."

List swój pan Mamiani kończy prośbą do pana Descours'a, aby się zajął zbadaniem zdobyczy filozoficznéj szkoły włoskiéj w bieżącém stuleciu i o tém wszystkiém w sposób właściwy uwiadomił Niemców, którzy pod tym względem zamknąwszy się w sobie — jak po labiryncie bez możności wyjścia krążą i kołują się ciągle w własnéj myśli. Jak zadość téj prośbie uczynił p. Descours, to już w części powiedzieliśmy wyżéj, a teraz dodajemy resztę, że w tutejszym „Przeglądzie europejskim" (Rivista Europea) w zeszycie majowym ogłosił nowellę Margrabianka zamężna (Marchesina Sposa) obecnie zaś w „Antologji" zapowiedziana jest inna obszerniejsza Wujaszek Tytus (Zio Tito), a wiemy jeszcze zkądinąd, że kilka innych belletrystycznych utworów, a także jeden dramat, osnuty na wypadkach florenckich z XVI wieku, jest w robocie i po ukończeniu mają być w różnych włoskich czasopismach drukowane.

Pisałem wam dawniéj o tłomaczeniu poezji Lenartowicza przez Hektora Marucci'ego i o powodzeniu tychże, teraz w kilku słowach uważam za stósowne dopełnić poprzednie wiadomości. Wśród licznych instytucji finansowych florenckich niepoślednie miejsce zajmuje Bank Ludowy (La Banca del Popolo) mający na celu popieranie małego handlu i przemysłu. Część czystego zysku, przeznaczonego na dywidendę pomiędzy akcjonarjuszami, bank ten przeznacza corocznie na premje dla autorów, artystów i przemysłowców, którzy najwięcéj się swemi pracami lub odkryciami odznaczyli i zyskali publiczne swéj zasługi uznanie. Na kwietniowém zebraniu rzeczonego banku przyznano nagrodę następującym osobom: 2,600 lirów profesorowi Di Marzo za „Nowy komentarz do Boskiéj komedji Danta", 2000 lirów Dr. H. Marelli za tragedję „Arduin z Ivrea", 1,800 lirów profesorowi Hektorowi Marcucci za przełożenie wierszem włoskim poezji Teofila Lenartowicza, 1,600 lirów rodzinie zmarłego deputowanego Józefa Civinini, redaktora największego tutejszego dziennika „La Natione" i 800 lirów Józefowi Rosange za wynalezienie nowego przyrządu do przelewania płynów. Przyznanie premium panu Marcucci było uprzedzone długim szeregiem bardzo przychylnych recenzji, które o Polsce, jéj nieszczęśliwym losie i bieżącéj rocznicy nieprzepomniały i zgodziły się na jedno, że tłomaczenie jego jest czynem patrjotycznym, bo nietylko poznajomiło ono Włochy z nieznaną dotąd poezją polską, ale i przez swój dobry wybór utworu dało wzór piękny młodym poetom włoskim do naśladowania. Nie sposób jest streszczać wszystkie te artykuły, zapiszemy więc tylko tytuły dzienników, które poezjom polskim oddzielną recenzję poświęciły: „Rivista Europea", „La Nazione", „La Gazetta d'Italia", „Rivista Sicula", „La Liberta", „Journal de Rome." Najserdeczniejsze artykuły były umieszczone w dzienniku „Fanfulla" i „La Riforma" — oba wychodzą w Rzymie.

Któż nie czytał z zadziwieniem wiadomości o olbrzymim koncercie danym niedawno w Bostonie przez 2,500 artystów? któż tego rzeczywiście wielkiego przedsiębiorstwa nie przypisywał i za jedyną bieżącego stulecia własność nie poczytał?.. Dawno już powiedziano, że nie ma nic nowego pod słońcem, i my toż samo powtarzamy w obecnym wypadku, oparci na powadze pamiętników współczesnych, dotąd w rękopiśmie zachowujących się. Według więc rzeczonego manuskryptu dnia 13 lipca 1615 r. kosztem Jana Jerzego, elektora saskiego odegranem było w Dreznie pod kierownictwem nadwornego muzyka Hilarego Grundmaus Oratorjum, przedstawiające historję Holofernesa, w którém wzięło udział 576 muzyków i 1900 spiewaków (nie licząc w to miejscowych artystów) przybyłych z Niemiec, Szwecji, Polski, Szwajcarji, Francji i Włoch. — Libretto do tego oratorjum napisał pewien Matheseus Pflaumenkern, muzykę zaś dorobił wzmiankowany już Grundmaus. Na wzgórzu zwaném Finkenbruk danem było przedstawienie, a raczéj odegranym był koncert — gdzie umyślnie urządzono odpowiednią galerję dla artystów, jak dla dworu i licznych słuchaczy zewsząd przybyłych.

Pomiędzy muzykami, którzy wszelkiego rodzaju instrumenta znane i nieznane z sobą przywieźli, odznaczył się szczególniéj nasz rodak Rapacki z Krakowa, wynalazca olbrzymiego przyrządu ciągnionego na wozie przez 8 mułów — zwanego kontrabasem. Instrument ten, na 8 łokci wysoki, był rodzajem harfy, do któréj były przyczepione wschody, po jakich w miarę potrzeby wynalazca to wchodząc to schodząc trzymanem w ręku smyczkiem wydawał najrozmaitsze tony od najwyższych do najniższych. Na tym kontrabasie, kiedy solo śpiewał basem Rumpler, uczeń z Wittemberga, przedstawiający Holofernesa, akompaniował mu nasz rodak i zjednał sobie powszechne uznanie a nawet zdziwienie wszystkich.

Na zakończenie niniejszego listu przesyłam wam następujące wiadomości: Wkrótce na waszéj wystawie Sztuk Pięknych, lub téż w sali Tow. Przyjaciół Nauk ukaże się portret Ordona pędzla pana Bolesł. Łaszczyńskiego — który na czas tutejszych upałów wyjechał do kraju i z sobą zabrał rzeczony portret, bardzo udatny pod względem podobieństwa i bardzo sumiennie odrobiony pod względem sztuki, o czém sami się najlepiéj przekonacie.

Niezadługo wracający do kraju hr. Cieszkowski

wzbogaci go jedną więcéj bibljoteką i galerją — które ostatniemi czasy zakupił w Wenecji i obecnie w strony rodzinne wysyła — za co niech mu będzie cześć i chwała. Oby każdy z naszych magnatów z zagranicy wracających poszedł za jego przykładem, a z pewnością kraj nasz nie byłby długo w tyle pod względem naukowym z innemi narody.

Bawiące od lat kilku dwie artystki z Warszawy, Biron Izabella i Miller Emilja, przez kilka miesięcy występowały w teatrze San Mimiato i grą swą jak i śpiewem umiały zaskarbić sobie tyle względów publiczności, iż gdy miał miejsce ich benefis, na którym grano operę Martę, takowa nietylko licznie się zgromadziła i licznemi oznaki dała dowód swego uznania, ale nawet podczas drugiego aktu na srebrnéj tacy posłała im złotemi litery drukowany sonet, jaki wedle spolszczenia naszego poety Cezara Polewki brzmi jak następuje:

Głos ów przesłodki, co wam z piersi płynie,
Czarem się wlewa do słuchaczów łona,
A wam dwoista wije się korona
Z wdzięku co kwitnie, ź imienia co słynie.

Lecz kto was słucha, ten często pominie
Kwiat chwały, którym skroń ta ozdobiona:
W postaci waszéj myśl jego utkwiona,
A kwiat piękności świeci mu jedynie.

Tak uwieńczone urodą i chwałą
W zawodzie waszym postępujcie śmiało:
Mniéj szczodrze łąkom wiosna kwiaty daje,

Kwiaty łąk marne, lecz trwa niepożytnie
Wszelki kwiat z ducha — a gdy tu przekwitnie
Rozświetla listki i gwiazdą się staje.

Nie potrzebuję dodawać, że cała tutejsza polska kolonja znajdowała się na owém przedstawieniu i z dumą brała udział w zaszczytném uznaniu naszych rodaczek przez wybredną pod tym względem publiczność włoską, w którém widziała niejako własne powodzenie.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Z życia awanturnika. Obrazki współczesne przez J. I. Kraszewskiego. Poznań, nakładem Tygodnika Wielkopolskiego, 1872.

Nowa powieść J. I. Kraszewskiego, to zjawisko wcale nie rzadkie, — w każdém prawie piśmie czasowém spotkać się można z belletrystycznym Kraszewskiego utworem, co miesiąc o nowo wydanéj usłyszeć powieści, — trzy, cztery czasami równocześnie wychodzą z pod prasy. Dodajmy do tego kilka tygodniowych kronik, listów i niemałą liczbę dziennikarskich artykułów, a będziemy mieć obraz niedokładny piśmienniczéj pracy Kraszewskiego. Jak można pisać tak wiele, zkąd tu czasu, zkąd wreszcie konceptu nastarczy? — pytania te bardzo często słyszymy z ust publiczności, którą płodność niezmierna autora szacunkiem napełnia i podziwem. I my uchylamy czoła przed niespożytą a zagadkową dla nas pracowitością Nestora powieściopisarzy naszych, przed tém sercem niezastygłém jeszcze w czasach ogólnéj obojętności i nudy, przed niczém niezrażoną chęcią służenia krajowi podług siły do chwili ostatniéj, uznajemy wielkie zasługi, jakie w piśmiennictwie położył Kraszewski i ze czcią dla tego przystępujemy do ocenienia prac zestarzałego pod bronią szermierza. Wyznajmy jednak otwarcie, zgodnie ze zdaniem publiczności, że działalność Kraszewskiego na polu powieściopisarstwa straciła już dawne znaczenie. Nie jest to winą autora, ale winą tych niezmiennych prawideł natury, które tak fizycznemu jak i umysłowemu rozwojowi człowieka stałe położyły granice. Żadnemu z talentów nie dozwolono wieczną cieszyć się młodością — każdy od słabych zaczyna początków, z mniejszą lub większą rozwija się daléj szybkością, aż dojdzie do szczebli najwyższych, na których pozostać nie można, z których zejść jedynie potrzeba. W dziedzinie nauk zejście to mniéj jest widoczne; brak twórczości, brak młodego ducha zastąpi zapas wiedzy zwiększony, rutyna z wiekiem nabyta. W powieści rzecz ma się przeciwnie — rutyna bez siły twórczéj, bez wyobraźni młodzieńczéj, bez zamiłowania i przejęcia się dziełem tworzoném, nie zdoła pokryć niedostatków, a pozwalając pisać z łatwością rzeczy coraz słabsze, niebezpieczną staje się zaletą. U Kraszewskiego pisanie powieści jest właśnie rutyną tylko, przyzwyczajeniem, potrzebą — wyobraźnia dawno opuściła skrzydła; zapał młodości, to przywiązanie do stwarzanych postaci i wypadków ostygło dzisiaj zupełnie; zapas inwencji wyczerpnął się do dna — została biegłość tylko w pisaniu i zwyczaj, nabytki długoletniéj pracy.

Powieść „Z życia awanturnika“ zdanie nasze niezbitym popiera dowodem. Zacny profesor Kudełka na jednéj z botanicznych wycieczek ratuje życie szaleńcowi, który właśnie założywszy stryczek zamyślał dobrowolnie powędrować na łono Abrahama. Młodzieńcem tym był dawny uczeń profesora — Teodor Murmiński. Matka jego tak z własnéj jak i męża strony do znakomitéj należąc familji, owdowiawszy, poślubiła tajemnie Murmińskiego, który u niéj pełnił obowiązki domowego nauczyciela. Za naleganiem familji, mianowicie syna z pierwszego małżeństwa, prezesa, związek ten we Włoszech zawarty, pozostał w tajemnicy; Murmiński na zawsze wydalił się z kraju, Teodor przyszedł na świat za granicą i po kilku latach dopiéro do domu matki powrócił w charakterze wychowańca, siostrzeńca dawnego mentora. Teodor przy śmierci matki nie mógł być obecnym, nie dowiedział się więc tajemnicy, którą ś. p. prezesowa powierzyła wraz z papierami i znacznym depozytem prałatowi Jeremiemu Zaklice. Prezes, obawiając się wykrycia powtórnych związków matki, wpływami swemi znienawidzonego Teodora, który prócz tego w ubieganiu się o względy pięknéj i bogatéj panny Toli szczęśliwszym się okazał rywalem, wygnał z kraju i doprowadził do nędzy. Teodor świat cały zwiedził, powrócił zrozpaczony, znękany i gdyby nie wycieczka Kudełki, byłby życie zakończył na stryczku. Kudełka wziął go w opiekę, i z pomocą doktorowéj-hrabiny (!), z pomocą niezamężnéj jeszcze Toli, dowiedział się o rodzinnych Teodora stosunkach, postanowił wydarte wywalczyć mu prawa. Prezes natomiast, dowiedziawszy się o nagłém Murmińskiego przybyciu, występuje również do walki w obronie pamięci spotwarzanéj matki, w obronie honoru nazwiska swego i domu. Walka ta jest treścią powieści. Obiedwie strony zwracają się nasamprzód do ks. Jeremiego Zakliki — prezes w celu odebrania i zniszczenia powierzonych papierów, Kudełka w przeciwnych zamiarach. Obiedwie przybywają za późno — ksiądz Jeremi umarł w samą porę, nie zwierzywszy nikomu tajemnicy; w pozostałościach zmarłego papierów szukano nadaremno. Następuje więc rozejm niezbędny, Kudełka nie wié co czynić, prezes odetchnął swobodniéj; — autor w widocznym kłopocie, jak tu daléj prowadzić intrygę. Zjawia się jednak na szczęście w jednym z zakładów miłosierdzia starzec zbiedzony, konający, nieprzytomny,

od którego wywiedzieć się nie można, zkąd przybył i jak się nazywa. Prezes zwiedzając ów szpital poznał w nim dawnego mentora, Murmińskiego, i na piersiach jego zaklęsłych spostrzegł worek jakiś skórzany, ważne zawierający papiery. Szczęście opuszczać zdaje się prezesa — lecz usłużny ekonom szpitala wykrada ów worek choremu — chory umiera z rozpaczy. Koło fortuny zwraca się w stronę prezesa — niestety ekonom uczciwą ma żonę, która tajemnie odbiera papiery i zanosi doktorowéj-hrabinie. Sprawa Teodora więc górą — zwłaszcza że się zjawia niespodzianie kanonik Salviani, Polak, który życie całe przepędził we Włoszech, był świadkiem ślubu Murmińskiéj i gotów jest Kudełce najdokładniejszych udzielić wskazówek. Każdemu się zdaje, że sprawa prezesa przegrana — bynajmniéj! Prezes pali papiery, które nieostrożna hrabina dała mu do ręki, ks. Salvianiego wpływem swoim do Włoch powracać przymusza. Czytelnik żałuje znowu Teodora, któremu kilkakrotny przypadek żadnéj nie przyniósł korzyści. Na szczęście profesor Kudełka zakupiwszy po ś. p. prałacie Jeremim bibljotekę, we futerale brewiarza znajduje ów daremnie poszukiwany depozyt wraz z urzędowemi papierami. Z prezesem źle znowu — mniejsza już o kilkadziesiąt tysięcy, ale honor matki, honor domu tak wielkim splamiony mezaliansem! Prezes zasłania się wreszcie znalezionym nagle dokumentem, który nieboszczka matka krótko wygotować miała przed zgonem; nakazuje on Teodorowi dla spokoju całéj familji pochodzenie swoje zataić. — Znowu więc kapryśna fortuna osadziła biedaka na piasku! Szczęściem pojawia się ksiądz Lacki, który niegdyś ze zmarłym prałatem jeździł do choréj prezesowéj. Wyznaje on pod kapłańską przysięgą, że wspólnie z prałatem do śmierci nie odstąpił jéj łoża, że o żadnym nie słyszał dokumencie. Na dobitkę profesor Kudełka wykrywa oczywiste fałszerstwo, — papier na którym nakaz ów spisano o dwa lata od samego młodszy dokumentu!... Czytelnik oczekuje cudu, któryby prezesa wydobył z téj matni, — tą razą jednak sprawa się kończy. Prezes, widząc się straszną zagrożonym hańbą, połyka dostateczną dozę arszeniku. — Teodor w lat kilka żeni się z przywiązaną Tolą. — Zbyteczném byłoby streszczenie to obszernym obdarzyć komentarzem — czytelnik bez naszéj pomocy spostrzegł ubóstwo inwencji i wypływającą ztąd sztuczność i nienaturalność sytuacji. Powieści téj zbywa na niezbędnym węźle intrygi, potępiany deus ex machina główną jest tutaj sprężyną. Umierający Murmiński, ekonom szpitala, żona jego, ks. prałat Salviani, ks. Lacki, różnorodne rodzaje dokumentów, wszystko to zjawia się w porę, aby jaki maleńki zawiązać węzełek, zatoczyć o kilka kroków intrygę i zniknąć. Gdyby nie samobójstwo prezesa, możnaby znowu wyprowadzić na scenę kilka urzędowych papierów, kilka osobistości nieznanych i powieść o tom jeszcze powiększyć. Autor naznaczając tym postaciom tak podrzędne w swéj powieści zadanie, nie mógł ich nam dokładnie scharakteryzować. Zawieramy znajomość na godzinę, aby późniéj nie zobaczyć ich więcéj — dosyć więc nam poznać fizjonomje i z ust przedstawiającego autora usłyszeć słów kilka ogólnych o życiu, o charakterze tych osób. Niestety dla tych właśnie przejezdnych, autor o stałych zapomina gościach. Tak wielu tu potrzeba komparsów, że dla bohaterów powieści mało już miejsca na scenie. Nie można ich też nazwać czynnymi — Kudełka, doktorowa, Tola, Teodor i prezes korzystają z przeróżnych przypadków; własnéj ich działalności nie ma prawie śladu. Traci na tém głównie wybitność i jasność charakterów; plastyki i życia nabiera charakter, jeżeli czynnym wystąpi na scenę — opisy autora mogą ogólne tylko naznaczyć zarysy. Charaktery niniejszéj powieści robią na nas dla tego wrażenie nieskończonych i bladych malowideł. Kudełka najlepiéj się udał — zacny to spokojny staruszek, któremu „komplikacja“ z prezesem wcale nie do gustu, gdyby nie szczęśliwy przypadek z brewiarzem, nie byłby zapewne trudnemu podołał zadaniu — nieczynność ta i niezaradność wypływa z jego charakteru; charakter to zresztą zwyczajny, tak często spotykany w życiu, że łatwo go kilkoma nakreślić linjami. Natomiast doktorowa-hrabina jest w saméj rzeczy osobą excentryczną jakich mało. Pomimo hrabiowskiego urodzenia przeciwko woli rodziny poszła za ubogiego lekarza, po śmierci jego usunęła się prawie od świata, zabawiając się nauką ulicznych dzieci obdartych, przyzwyczajaniem do pracy żebrzących ubogich, książkami i towarzystwem nielicznem ludzi poważnych. Postać ta nie odpowiada zupełnie zwykłym naszym i uzasadnionym o hrabiankach wyobrażeniom, trzeba ją nadzwyczaj starannie odtworzyć, aby w oczach naszych stała się jakokolwiek możliwą. Autor przeciwnie na kilku ogólnych poprzestał uwagach, — w dalszym ciągu powieści doktorowa-hrabina lekkim tylko odcieniem rubaszności od najzwyklejszych różni się śmiertelnych — tworzy się więc z tego jakiś charakter niejasny, niewykończony, a przedewszystkiém niesmaczny. Niemniéj dla nas zagadkową jest Tola — jesteśmy i tutaj zmuszeni wierzyć zaręczeniom autora, podziwiać jéj męzki charakter, którego blade tylko spostrzegamy ślady. Postaci téj zbywa również na niezbędném dla jasności wykończeniu. Dla téjże saméj przyczyny dobrze pomyślany charakter Teodora słabe bardzo czyni wrażenie. Człowiek to złamany nieszczęściem, schorzały na duszy, przepełniony zwątpieniem, sarkazmem — autor usuwa go zbyt prędko z widowni i leczy dosyć zagadkowo pośród szkółek i cieplarni barona Opern, który w tym tylko celu zjawia się raz jeden w powieści. Autor czasu nie miał bliżéj się zająć ciekawym stanem duszy Teodora, musiał mu dozwolić ucieczkę, gdyż Teodor zupełnie bezczynny zawadzałby tylko na scenie — zanosi się dla tego na charakter zajmujący, prawdziwy, który w dalszym ciągu powieści dla braku obrobienia schodzi na poziom ogólników. — Postać prezesa, dobrze naszkicowana z początku, staje się w końcu zupełną dla nas zagadką. Dla czego prezes z taką zawziętością zaprzecza pochodzenie Teodora? W obec obiegających po mieście pogłosek, lepiéj było przyznać ów mezalians matki, niż ją na ubliżające narazić podejrzenia. Postępowanie prezesa nie ma żadnéj rozsądnéj podstawy, a ten finał nieszczęsny z fałszowanym dokumentem i wypływającém ztąd samobójstwem w nieszczęsną zmienia go karykaturę.

Pospiech — oto wada wszystkich nowszych Kraszewskiego powieści. Chcąc dobrą powieść napisać, trzeba nasamprzód uzbierać materjał, studjować ludzi i stosunki ludzkie, utworzyć postacie, ułożyć starannie intrygę, przetrawić całą powieść w myśli, zanim się pióro uchwyci, przerywać pracę raz po raz, aby ze świeżym zawsze pracować umysłem, przerabiać, poprawiać, wykończać, — czasu tu potrzeba niemało i wyłącznego zajęcia przedmiotem. Kraszewski pisać zaczyna, nie wiedząc jeszcze jak skończy, pisze naraz cztery powieści, pracuje nad jednotomową nie więcéj jak dni kilkanaście, czyż więc można oczekiwać arcydzieła?

J. M.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

Zamieszczając następującą odezwę, wzywamy Szanowną publiczność do poparcia i rozpowszechniania „Przyjaciela Dzieci i Młodzieży“, wydawanego przez J. I. Chociszewskiego.

Odezwa.

Pragnąc Przyjaciela Dzieci i Młodzieży więcéj upowszechnić, ofiaruję 100 egzemplarzy z r. 1872 za połowę ceny t. j. za 15 sgr. i 100 egzemplarzy za ćwierć ceny t. j. za 7 i pół sgr. (czyli za opłatę przesyłki pocztowéj). Z tego zniżenia ceny mogą tylko korzystać ci z publiczności, którym rzeczywiście trudno talara rocznie płacić. Pozostawiam to własnemu uznaniu chcących ze zniżenia ceny korzystać: czy mogą 15 lub 7 i pół sgr. płacić. Zwracam wyraźnie uwagę, że za tę kwotę cały rok franco „Przyjaciela Dzieci i Młodzieży“ posyłać będę, a rocznik zawiera 208 stron wielkiego formatu i 100 rycin. Kto chce, może też nadesłać 15 lub 7 i pół sgr. i mnie pozostawić wyszukanie odpowiednich osób, którymby można posyłać. Upraszam Towarzystwa i pojedyńcze osoby, a mianowicie zacne Polki, aby z tego ułatwienia korzystając, przyczyniły się do rozszerzenia „Przyjaciela Dzieci i Młodzieży“, który dla braku środków materjalnych (jest tylko 400 przedpłacicieli) rozwijać się nie może.

J. Chociszewski. Redaktor „Przyjaciela Dzieci i Młodzieży.“
Poznań, Ul. Kozia Nr. 10.

* * *

— Pan **Łubieński Stanisław** tłomaczy i wydaje swoim nakładem Jerzego Ville, profesora fizjologji roślin i zawiadowcy Muzeum nauk przyrodniczych w Paryżu, dzieło p. n. „Nawozy chemiczne, — odczyty gospodarcze na podstawie prób dokonanych w Vincennes.“

* * *

— **Zygmunt Komarnicki**, tłomacz i komentator „Kroniki Dytmara“, zamierza wydać w przekładzie polskim **Kronikę Marcina Gallusa.**

* * *

— **Władysław Bełza** zamierza od 1go października wydawać we Lwowie przy pomocy jednego z nakładców „Bibljotekę dla młodocianego wieku.“

* * *

— Od pewnego czasu zaczęły się szerzyć wiadomości, powtarzane nawet przez pisma publiczne nietylko polskie ale i niemieckie, iż znakomita artystka teatrów warszawskich p. **Helena Modrzejewska** zamierza przejść na scenę niemiecką. — Zasięgnąwszy dokładnych wiadomości z najwiarogodniejszego źródła, możemy stanowczo oświadczyć, że wszystkie te pogłoski są wierutnym fałszem.

* * *

— Z dniem 1go października b. r. dyrekcją polskiego teatru w Poznaniu obejmie stanowczo p. **Zygmunt Sarnecki** z Warszawy. Przeszłość p. Sarneckiego jako pisarza dramatycznego i dyrektora teatru w Lublinie daje gwarancję, iż scena nasza nareszcie byt swój utrwali i prawidłowo rozwijać się będzie.

* * *

Czasopisma:

— Dr. **Karol Benni** uzyskał upoważnienie na wydawanie w Warszawie pod cenzurą prewencyjną pisma p. t. „Medycyna“, czasopismo tygodniowe dla lekarzy praktycznych.

* * *

— W Krakowie zawiązuje się nowe czasopismo p. t. „**Pochodnia**“, poświęcone sprawom społecznym, literackim i ekonomicznym i „**Dziennik Mód**“ pod redakcją Wołodego Skiby.

* * *

— Z Paryża pisze korespondent „Kölnische Ztg.“ pod dniem 2go sierpnia: W tutejszych kołach polskich mówią głośno o tém, iż jedna część żyjącéj w Paryżu polskiéj arystokracji zamyśla założyć **nowy dziennik, któryby bronił spraw polskich** i poświęcał się przeważnie walce z niemieckiemi dziennikami, których polityka jest zarówno antipolską i antikatolicką. Organ rzeczony starałby się w ten sposób służyć sprawom Francji, iż przedstawiałby ją jako orędowniczkę kościoła katolickiego, przeznaczoną do zapewnienia temu kościołowi tryumfu nad jego nieprzyjaciółki. Jednę część wydatków przedsiębiorstwa poniósłby ks. Władysław Czartoryski, drugą ks. Aumale, a resztę pokryłyby dobrowolne datki członków, t. z. „białéj emigracji.“ Na redaktora przeznaczono, według tego samego korespondenta, znanego polskiego publicystę p. Jana Klaczkę. — Inne pisma zaprzeczają téj wiadomości.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.